

BUDOWLANKA

czyli ...

PATOLOGIE POLSKIEGO BUDOWNICTWA



Tomasz Markun

Tomasz Markun

BUDOWLANKA

czyli patologie polskiego budownictwa

Drogi czytelniku, trzymasz teraz w ręku moją debiutancką książkę, w jej pierwszym wydaniu. I nie jest to zwykłe wydanie, a edycja limitowana, wyróżniająca się nie tylko twardą oprawą, ale też tym, że powstała ona z ogromnym wsparciem społeczności dotychczasowych czytelników mojej twórczości.

Poniżej zaszczytna lista obecności w najlepszej brygadzie na świecie, której członkom serdecznie dziękuję za wsparcie i okazała życzliwość ☺

autor: Tomasz Markun

Inwestor:

Jarek Kapitanowicz, Wiesław Markun, Koledzy :)

Generalny Wykonawca:

Kuba Ormo Gumienny, Konrad Paweł,

Wujek:

Anna Patro-Markun, Dziękuję Blond Małpie z dźwigów Einarowi Thorwaldsenowi zwanemu też Geraldem z Żurawia, Krystyna, Tadeusz i Sówka Markun, Adam Murawski, Ols, Damian Emborodo, Maja Markun, Piotr D., BRUKOVA SP. Z O.O. , Maciej Krupa, Agnieszka N., Szymon Makuch, Wera PinkFluid, Tomek K., Dawid K., Gustaw K., MAGDA I BARTEK STOLARCZYK, Bartłomiej P., Grzegorz Ł., Paweł Dezor, Adam W., Sławek W., Rodzina Walewskich :)

Majster ogólnobudowlany:

Albert Żmudzin, SilverArrow, Dominik Wieczorek , Marcin Prause, Cezary Mącik, Maciej G., x47zero, Apsik, Jakeus, Czarek K., Stanisław Włoch, Marek Warczyński, Nie trzeba, szpetny.frank, Andrzej S., Michał L., Magdalena Rusinska, Sylwia B., Tomasz Wróbel, Jakub R., Bartosz C., Dawid Ochenduszo, Maciek 22cm, Sebastian Woszczyk, O\$ka, M.Sob., Michał Niespodziany, Jakub F., Krzysztof Głębowicz, Dariusz M., Mikołaj S., Michał Sawrycki , Sitwa, Dante, Niedźwiedź \m/ W STADZIE SIŁA !!! \m/, Grzegorz Olszewski, Basz-

tan, Grzegorz K., Szymon H., Adam Z., Maja G., Szymon Szcześniak, Tomasz Kiljanek, Dominik K., Kefir ze Skalitego, Piotr L., Paweł Gącik, Dominik S., Łukasz K., Elektryk Popudrak, Krzysztof W., Radosław H., Maciej M., Stanisław Król, Jarosław H., Jakub R., Kerownik Styropian, Daniel D., Bartosz I., Przemysław Dąbrowski, Wojciech K., Piotr P., Wojciech A., Kamil T., August z Borek, Maciej G., dzik2K, Michał K., Kuba Andraszek, Paweł K., Szymon M., Iwona Markun, Jax Jackson

Majster:

Małgorzata Zareba – Kalinowska, Anna i Seba K., Kamil W., Paweł R., Marek L., Jakub K., Mariusz S., Krystian N., Łukasz D., Jakub P., Anna P., Patryk K., Patryk S., Sonia A., Maciek S., Marcin R., Anna T., Piotr B., Magdalena P., Rafał G., Katarzyna K., Rafał S., Przemek S., Patryk S., Adam S., Maksymilian Kapitanowicz, M.kaczorowski, Robert C., Mariusz W., Wojciech K., Konrad B., Sebastian Ł., Jakub J., Michał Ż., Piotr O., Filip K., Adrian L., Mateusz M., Marcin N., Arkadiusz L., Piotr M., Joachim G., Mateusz M., Łukasz K., Dominik M., Jakub P., Dominik Ł., Filip C., Bartłomiej Z., Michał P., Krzysztof K., Gabriela W., Bartłomiej S., Sebastian Ś., Patryk M., Maciej K., Konrad S., Tomasz J., Adam B., Michał T., Paweł K., Artur W., Agnieszka G., Mateusz R., Martyna K., Mariusz K., Karol G., Karol K., Adrian S., Piotr R., Dorota R., Piotr P., Mikołaj Ł., Przemeg S., Kacper S., Marcin N., Piotr W., Paweł G., Małgorzata S., Marek Ł., Marcin B., Tomasz S., Krysia G., Paweł T., Szymon W., Łukasz B., Maciej S., Wojciech P., Michał S., Marcin K., Maciej W., Tomasz M., Maciej S., Jacek Z., Sylwiusz S., Agnieszka M., Jakub S., Marcin J., Weronika Ś., Mostostal Warszawa, Maciej M., Marcin D

Malarz/szpachlarz:

Paweł T., Michał P., Michał S., Konrad Ł., Maciej S., Kryspin C., Mateusz K., Pysiunia

Malarz: Michał S., Piotr S., Aleksander P., Magdalena O., Jacek B., Kamil F., Konrad K., Elvlanden D., Agnieszka Ś., Mateusz G., Marcin M.

Murarz:

Joanna L., Anna W., Marek Warczyński, Alrion, Damian S., Marek Warczyński, Marcin B.

Szpachlarz:

Krzysiek Babuls, Michał S., Rej+wspieramto M., Karol O., Sebastian Z., Mercury001, Jakub Koch, Sergiusz K., Seba.yz, Lewel.

Malarz:

Mateusz S., Tomasz L., Anna O., Piotr Sołtysiak, Tomasz P., Marcin K., Kamil M., Jerzy M., Picwons, Jan M., Maciej T., Marek B., Tomasz Chlebowski, Dawpaw97 P., Paweł W., Artur L., Jakub S., Sebastian B., Michał S., Piotr S., Aleksander P., Magdalena O., Jacek B., Kamil F., Konrad K., Elvlanden D., Agnieszka Ś., Mateusz G., Marcin M.

Jarkowi, a także Lejsowi i innym Lejsom,
których nie poznałem lub których imion nie pamiętam.

Szczególne podziękowania dla Tomka Klarkowskiego
zwanemu Einarem Thorwaldsen,
za jego upór i walkę o lepszą budowlankę.

*Jedno piwo, to nie piwo,
Dwa piwa to pół piwa,
Cztery piwa, to jest piwo,
A kto pije jedno piwo?*

(budowlana maksyma)

Ja tu mieszkać nie będę.

(budowlane motto)

Będzie pan zadowolony...

(budowlany mit)

– Gdzie jest śmietnik?

– Wszędzie.

(budowlana zasada)

Póki się nie zawali, to będzie stało.

A jak pierdolnie, to nas tu dawno nie będzie.

(prawo budowlane)

Przedmowa

Mówi się, że miłośnicy kielbasy nie powinni dochodzić prawdy na temat tego, w jaki sposób ta kielbasa została przygotowana. I może to samo stwierdzenie powinno dotyczyć się prac budowlanych, wszelkich remontów i wykończeniówki wewnątrz. Więc jeśli ktoś dalej chce żyć w błogiej nieświadomości, to lepiej, żeby odłożył tę książkę na półkę, wrócił do swojego M i nigdy, przenigdy nie próbował dochodzić, kto, kiedy, jak i dlaczego to wszystko wybudował.

A tych, którzy zawsze wybierają czerwoną pigułkę, zapraszam do Matrixa.

Załóżcie kaski, buty z noskiem i rękawice ochronne. Przydadzą się też gogle na oczy i czasem jakieś stopery do uszu. Lepiej miejcie to wszystko przy sobie, dla własnego komfortu, jeśli będziecie czytać tę historię we wnętrzu jakiejś nieruchomości. Weźcie też coś do żarcia, żebyście podczas przerwy do zielonego płuza po hot-dogi nie musieli biegać. Przygotujcie się dobrze, ponieważ zabiorę was...

(Królicza nora to przy tym naprawdę małe piwo)

... zabiorę was w sam środek POLSKIEGO BUDOWNICTWA.

30 dzień na budowie

Jak podła potrafi być praca na polskiej budowie, wiedzą tylko ci, którzy mieli okazję tam pracować. Reszta musi wierzyć na słowo.

Do samego początku mojej i Lejsa kariery w polskim budownictwie jeszcze powrócę, a teraz zacznę swoją opowieść od czegoś, co wydarzyło się w pierwszych latach mojej pracy na polskiej budowie. Był to początek nowego millenium i o ile dla wielu pracowników mogły to być czasy smutne, to dla wielu budowlańców czasy te potrafiły być dziesięć razy smutniejsze.

O ile pracując na etatach, na których człowiek zatrudniał się na podstawie jakichś papierów, coś tam było jednak zagwarantowane i jakieś przepisy obowiązywały, o tyle w budowlance kompletnie nie było wiadomo, co przyniesie kolejny dzień. Każdy następny był jeszcze bardziej popierdolony niż dzień poprzedni, więc tylko wyobrażcie sobie, jak mógł wyglądać mój i mojego przyjaciela Lejsa trzydziesty dzień na polskiej budowie. I od tego dnia zacznę moją opowieść.

Złapaliśmy raz z Lejsem pracę w firmie zbrojarskiej. Ekipa przyjeżdżała z jakiejś odległej wioski, położonej dobre sto kilometrów (jak nie więcej) od budowy, na której w tamtym czasie pracowaliśmy. W busie poza szefem firmy, kierowcą, siedziało jeszcze ośmiu jego pracowników. Bus ten holował jeszcze jednego busa, w którym upakowana była reszta brygady, czyli dodatkowych sześć osób i sprzęt. Wszystkich tych majstrów było w sumie czternastu. Wyglądali prawie identycznie. Mieli takie zapite, spuchnięte od cugu alkoholowego mordy, takie wielkie nosy, głowy całe takie duże, szok. Na tle swojego szefa ekipa wyglądała jak banda ogrów pod wodzą księciunia Igthorna.

Wtedy była to dla nas firma jak każda inna na budowie. Wujek i szwagry, czyli szef i pracownicy. Dopiero po jakimś czasie zauważyliśmy z Lejsem, że na wszystkich budowach, gdzie ich potem spotykaliśmy, robili jedynie zbrojenia fundamentów i czasami parterów. Prawdopodobnie było tak z dwóch powodów. Pierwsza opcja jest taka, że wzięli robotę, a potem szybko ich wywalono z budowy, kiedy coś tego spierdolili. Drugą opcją było to, że goście chodzili na co dzień tak napruci, że przy całej tolerancji do wody na budowie w tamtych latach, to i tak strach ich było puszczać na piętra powyżej parteru, bo na pewno by jeden z drugim zleciał i się zabił. Byłby potem kłopot, co z trupem zrobić, żeby się prokurator nie dowiedział. Koszt łapowy dla prokuratora w przypadku takiej akcji mógłby w tamtych latach całkowicie pograć firmę, w której doszło do takiego wypadku.

Więc zbrojarze albo musieli być wywalani z budowy bez pieniędzy, kiedy już wykonali uzbrojenie fundamentów i czasami parteru, albo tak napruci, że strach ich było wpuścić do prac na „wysokości” i robotę powyżej parteru dostawała mniej alkoholowa brygada. Nie obstawiałbym jednej konkretnej opcji, bo obie były tak samo prawdopodobne.

W każdym razie raz przyszło mnie i Lejsowi w tej firmie pracować. Gdy nas wywalił z pracy jeden wujek, to chcieliśmy mu pokazać, że jeszcze tego samego dnia znajdziemy sobie fuchę na tej samej budowie. No i jakoś tak spotkaliśmy wujka zbrojarzy, jak wracał z kibla. Jego ekipa robiła akurat zbrojenia fundamentów w wykopie głębokim na jakieś dwa czy może trzy metry. Podchodzimy nieśmiało do gościa i pytamy go o robotę. Facet coś pomarudził, pokręcił nosem, potem zaczął nas jebać, że dzisiaj każdy chce pracę, ale „szefko, szefko”, a potem robić nie ma komu. Zaczął też zrzędzić, że on ma ważne sprawy i jego czas kosztuje. Pierdolił coś jeszcze, że my mu dupę zawracamy, a tam mu w wykopie ludzie stoją. Popatrzył na nas chwilę i zapytał, kto mu teraz za jego czas, kiedy z nami rozmawiał,

zapłaci. Patrzył na nas tak, jakby naprawdę oczekiwał od nas odpowiedzi, a za chwilę dostał cholernego ataku kaszlu. Gdy się wykaszlał, to pobiegł do swoich ludzi i zaczął się drzeć na nich. W sumie krzyczał tylko „szebko, szebciej”, potem wymienił chyba imię każdego z nich po kolei i darł się do każdego, żeby „szebko, no szebko!!!” Wydarł ryja jeszcze kilka razy, a potem wrócił do nas.

Dokonawszy popędzającego opierdolu na swoich pracownikach, wujek zbrojarzy wrócił do nas i okazało się, że dostaniemy robotę. Tylko godzinę musimy odpracować za darmo, bo zabraliśmy mu jego czas, no i drugą godzinę też, bo jak to w budowlance, musimy się sprawdzić (nic w tym nie było dziwnego, bo takie to były właśnie czasy – chcesz mieć pracę, sprawdź się najpierw za darmo...).

W każdym razie typ został naszym nowym wujkiem. Ale zanim dostaliśmy nasze zadania, Lejs zapytał go, czy możemy zjeść przed pracą śniadanie, a typ chciał wiedzieć, czy przyszliśmy bez śniadania. Lejs powiedział, że jadł w domu. Wtedy się ten wujek nieźle wkurwił i kazał nam wypierdalać. Jak już odeszliśmy trochę dalej, to krzyknął za nami:

– No, chłopaki, ale ja nie powiedziałem, że nie dam wam tej pracy. Spierdalać wam tylko kazałem, a wy już chcecie sobie gdzieś iść. Praca jest!

My z Lejsem już nic nie kumaliśmy, ale wróciliśmy do niego i pytamy, czy nas przyjmie, czy nie. On wtedy powiedział, żebyśmy tam zeszli do wykopu i krzywili pręty. Wybełkotał coś, że płaci nam „ełesio”. Lejs zapytał:

– Ile?

Typ powiedział to samo, tylko jeszcze szybciej i głośniej, a na koniec dodał jeszcze „kurwa”, po czym znowu dostał okrutnego ataku kaszlu.

– Szebko, szebko do wykopu, bo praca czeka, szebciej! – krzyknął i pokazał nam palcem zejście do wykopu.

Na dół prowadziła prowizoryczna drewniana drabinka, którą majstry musiały sobie zrobić sami z desek po paletach EURO. Na dole śmierdziało wodą jak w jakiejś gorzelni. Nasz nowy wujek pokazał nam takie dźwignie do wyginania prętów zbrojeniowych. Zawołał jakiegoś ziuta, żeby nam wytłumaczył, jak to się robi, no i przyszedł koleś bez połowy zębów i zaczął do nas coś bełkotać:

– ABŁE, ŁE FE THŁE ŁELEŁE FEŁELE, AYYAA!!! – Machał przy tym łapami i pluł na Lejsa, który stał bliżej niego. Widząc, że Lejs zaczął wycierać ze swojej twarzy tę paskudną wydzielinę z bezzębnej paszczy majstra, ten zaczął bełkotać coś jeszcze głośniej i przerwał tylko na chwilę, żeby się wykaszleć, a potem splunął na ziemię i zaczął przeklinać. I te przekleństwa to były jedyne słowa, które jakoś nam się udało zrozumieć. Potem zdenerwowany, burcząc coś pod nosem i kręcąc ostentacyjnie głową, poszedł do swojej roboty, a my z Lejsem staliśmy skołowani przy giętarcie i zapasie prętów.

Chwila musiała minąć, zanim podpatrzyliśmy, co w ogóle mamy robić. Majstry w wykopie brały pręty i urządzeniami składającymi się głównie z wajchy i podstawki na stalowych nogach wyginały je, tworząc kwadraty, które odkładali na bok. Zaczęliśmy z Lejsem robić dokładnie to samo. Przynajmniej tak się nam wydawało. Ale nikt nic nie mówił, więc gięliśmy dalej i kupka naszych kwadratów z każdą chwilą była coraz wyższa. Minęła godzina i przyszedł taki jeden z tych szwagrów i zabrał nam chyba połowę tego, co do tej pory wygięliśmy.

Myśleliśmy, że zanieśie to gdzieś do tych majstrów, którzy zaczepiali kwadraty do prętów, które wystawały z jakiegoś betonowego murku, ale ten majster położył sobie nasze kwadraty na swoją kupkę. Najprawdopodobniej facet zabrał nam owoce naszej pracy, żeby przypisać je sobie. Poszedłem więc do niego i pytam, czemu przełożył, a ten coś zaczął bulgotać. W sumie bełkotał coś bardzo podobnego do bełkotu majstra, który tłumaczył nam, jak mamy giąć pręty

(o ile faktycznie to nam tłumaczył, bo właściwie nic kompletnie nie zrozumieliśmy z tego, co nam wtedy powiedział).

Mówimy majstrowi, żeby nam oddał nasze kwadraty, bo nas wujek z pracy wyrzuci, jak przyjdzie i zobaczy, że tak mało zrobiliśmy, ale majster wtedy podwinął rękaw i pokazał nam swój tatuaż na ramieniu. Była to kotwica z głową byka. Tatuaż był wykonany wyjątkowo brzydko, bo kotwica była krzywa, a byk wyglądał, jakby pochodził z Czarnobyli, ale chyba nie było się czemu dziwić, bo pewnie ktoś, kto tatuował majstra, robił to po pijaku, zapewne przy okazji jakiejś libacji.

Majster przyłożył palec do głowy byka, zaczął warczeć i tupać na nas nogą i coraz bliżej naszych twarzy przysuwał nam ten tatuaż, jakby chodziło o to, że to niby ten byk tak na nas warczy. Przestraszyliśmy się z Lejsem, bo nagle pozostali majstrzy, którzy stali obok, przestali wyginać pręty i zaczęli się nam przyglądać, coś burcząc złowrogo między sobą. Wróciliśmy z Lejsem do naszych giętarek. Oczywiście reszta wygiętych kwadratów zginęła.

Trochę nam było głupio, bo jak wujek wróci z drugiego wykopu, to wyjdzie na to, że kompletnie nic nie zrobiliśmy. Wyrzuci nas pewnie z pracy, nie wypłacając nam ani złotówki.

Na szczęście opracowaliśmy z Lejsem taką metodę, że robiliśmy we dwóch na jednej giętarce i nadrobiliśmy stratę, bo szło nam kilka razy szybciej niż gdybyśmy pracowali tak, jak reszta zawodowych majstrów zbrojarzy. Majstry zaczęły się nam przyglądać i znowu zaczęli coś burczeć, patrząc to na naszą kupkę, to na swoją. Wszyscy przestali wyginać i już chyba chcieli iść w naszą stronę, kiedy do wykopu nagle przyleciał wujek. Oczywiście wydarł się na wszystkich, że co tak wolno, a potem, zaczął czynić indywidualny opierdół każdego z majstrów. Stawał po kolei nad każdym, liczył, ile ma wygiętych kwadratów i tak długo ryczał: „Szeebciej, no szybciej, szeebciej, kurwa, no szeebciej!!!”, dopóki nie dostał kolejnego ataku kaszlu.

Miałem coś takiego w sobie, że jak kogoś przy mnie opierdalano, to czułem się tak trochę współwinny i spodziewałem się, że zaraz i ja padnę ofiarą srogiego opierdolu. Tak się zdenerwowałem, jak wujek opierdalał czwartego już szwagra, że ze strachu upuściłem na ziemię jeden wygięty kwadrat. Zwróciłem tym uwagę wujka na siebie i Lejsa. Wujek dosłownie w jednej chwili wstrzymał czyjś opierdol i odwrócił się do nas. Oczywiście przyszedł od razu i zaczął wydzieierać ryja:

– Szebciej, no szebciej! Szebciej macie wyginać, szebciej!!!

Kazał nam materiału na ziemię nie rzucać, bo przecież on za ten materiał płaci. A jak się zorientował, że robimy na jednej gietarce, to zapytał, dlaczego druga nie pracuje. Lejs powiedział mu wtedy, że tak jest szybciej, a wujek na to, że jak może być „szebciej”, skoro jedna gietarka nie pracuje (prawdziwy debil XD).

Powiedział jeszcze parę rzeczy, których nie zrozumieliśmy, a potem kazał każdemu z nas stanąć na swojej gietarce i giąć samemu. Szło wolniej, ale było, jak chciał. I stał nad nami jak jakiś gestapowiec i darł na nas ryja „Szebciej, no szebciej” – najpierw na Lejsa, a potem na mnie. Aż mi się ręce trzęsły i wszystko mi spadało, jak krzyczał mi prawie do ucha. A gdy podnosiłem, to krzyczał:

– Szebciej, no szebciej!

Dodał jeszcze coś o szacunku do jego materiału i dalej mnie popędzał, rycząc tym sadystycznym tonem, a mi łapy to tak zaczęły latać, że zamiast tę wajchę do gięcia, to parę razy złapałem po prostu powietrze. A on drze na mnie tego ryja jak na jakiegoś psa. Ach, gdybym miał wtedy chociaż pięćdziesiąt złotych w portfelu, pewnie bym poszedł stamtąd, ale cóż, budowlanka początku lat dwutysięcznych. Było, jak było...

Wujek powstał w naszym wykopie jeszcze z pół godziny i zobaczyliśmy, że właściwie jedyne, co robi, to każdemu po kolei każe robić „szebciej”. Chodził od jednego do drugiego i darł mordę, a potem

wychodził do drugiego wykopu i tam pewnie robił to samo. Do nas też jeszcze kilka razy podszedł. Takiej kurwy na budowie jeszcze się wtedy nie spodziewaliśmy, ale tak bardzo potrzebowaliśmy wtedy pracy, a wcale nie było o nią wtedy łatwo. A my zarabialiśmy wtedy średnio 3,50 zł na godzinę, przepraszam – tyle nam średnio obiecywano, bo jakby wyliczyć średnią z tego, co dostawaliśmy, to pewnie by wyszło ze 2,50 zł, bo ciągle jakiś wujek, zanim nas wyrzucił z pracy za to, że nic nie potrafimy, to obcinał nam część wypracowanych godzin i za karę nie płacił nam za nie pieniędzy.

Więc robiliśmy szybciej, skoro nowy wujek darł na nas ryja. A kiedy wychodził z wykopu, majstry rabowały nam nasze kwadraty. Ale na koniec dnia zrobił się niezły raban w wykopie. Majstry bulgotały coś do siebie nerwowo, ale ja i Lejs nie wiedzieliśmy, o co im chodzi. Wujek zagotował się ze złości, chodził od stanowiska do stanowiska i zaczął porównywać ze sobą znajdujące się tam wygięte kwadraty. Okazało się, że na każdym stanowisku było pełno źle wygiętych kwadratów. Dziwiliśmy się z Lejsem, jak kwadraty mogą być złe. Dopiero wtedy uświadomiliśmy sobie, że one muszą mieć pewnie jakiś konkretny wymiar. Wujek darł się i ciskał o ziemię złymi kwadratami. Wtedy wszystkie ręce pokazały na nas. Wiedzieliśmy już, co jest grane. Nie znaliśmy się na zbrojeniach, a nikt nam nie wytłumaczył, że każdy kwadrat ma mieć jakiś konkretny wymiar. Jak nas wtedy zaczął ten pieprzony skurwiel jebać! Normalnie zrobił się aż cały czerwony i zaczął rzucać tymi kwadratami już nie na ziemię, ale wszędzie dookoła, aż się majstry za giętarkami pochowali, bo idiota nawet nie patrzył, gdzie je rzuca. Staliśmy tylko z Lejsem jak te trusie, bo młodzi jeszcze byliśmy i dopiero poznawaliśmy pieprzone, patologiczne realia polskiego budownictwa. Już było pewne, że utnie nam jakieś godziny. Pytanie tylko ile. Na nic się zdało nasze tłumaczenie. Wujek posądził nas jeszcze o to, że narobiliśmy baboli i podrzuciliśmy to jego chłopcom, żeby nie było na nas. Kazał nam się wstydzić i wy-

pierdalać z wykopu. Wydarł się jeszcze, że więcej mamy mu się na oczy nie pokazywać. Wtedy się go pytamy o pieniądze, a on wpadł w taki szal, że przewrócił na ziemię gietarkę, na której pracowaliśmy z Lejsem. Darł się, że to my mu powinniśmy zapłacić za jego czas i zmarnowany materiał.

Na myśl, że znowu ktoś nam nie zapłaci, zalała mnie fala gorąca. Przecież dopiero dzień wcześniej wyrzucono mnie i Lejsa z pracy i nie dano nam nawet złotówki. Z tego stresu myślałem, że się zaraz porzygam, bo jakoś tak mnie ścisnęło w brzuchu. Tak bardzo się przestraszyłem, że nie będziemy mieli z Lejsem na jedzenie.

– Chociaż po piątku – powiedziałem łamiącym się głosem i ze łzami w oczach, a ta kurwa wyjęła wtedy portfel i dała nam po dwa złote.

Jeśli miał psa i go karmił, to jestem przekonany, że ten pies żarł za więcej dziennie, niż my dostaliśmy za całą dniówkę naszej pracy...

Wzięliśmy te pieniądze i poszliśmy. Byliśmy tak biedni, że nie stać nas było na żaden honor. Zresztą, gdzie budowa, a gdzie honor.

A gdy wychodziliśmy z wykopu, to jeszcze krzyczał za nami:

– Szebciej, no szebciej, kurwa! Szebciej, kurwa, won z wykopu!!!

I znowu z Lejsem zostaliśmy wyjebani z pracy. Trzeci raz w ciągu jednego miesiąca. Kolejny też raz nie dostaliśmy pieniędzy za naszą pracę, za karę, że nic nie potrafimy, chociaż już na początku mówiliśmy, że chcemy się nauczyć i pierwszą godzinę czy nawet dzień wszędzie musieliśmy pracować za darmo.

Mieliśmy w sumie cztery złote i kupiliśmy sobie za to w sklepie bochenek chleba, jednego czarnego specyka i kilka fajek sprzedawanych na sztuki. Fajki na sztuki wychodziły wtedy dwa razy drożej niż gdyby kupić je w paczce, ale na paczkę nie było nas stać. A na cztery pety już tak.

Acha, i zrobiłem jeszcze jeden myk. Stojąc w kolejce przy ladzie, schyliłem się, że niby sznuruję but, a w rzeczywistości patrzyłem,

czy nie znalazłoby się parę drobniaków pod ladą. Czasami spadały tam ludziom i nie były wyjmowane. I znalazłem złotówkę i trzydzieści groszy. Żał mi było siebie, ale jakoś tak bardziej żał mi się zrobiło Lejsa. Nie był takim małym kurduplem jak ja. Był taki wysoki i duży, a tak go podle potraktowano.

Wziąłem tę złotówkę i kupiłem mu malutką paczuszkę jego ulubionych solonych czipsów.

– Masz, to dla ciebie – powiedziałem i szczerze uśmiechnąłem się do smutnego Lejsa.

A potem siedzieliśmy, piliśmy piwko na pół i zjedliśmy kilka suchych kromek chleba. Nie najedliśmy się, ale musieliśmy zostawić coś na kolejny dzień, żeby na głodniaka nie szukać sobie nowej pracy. Wypaliliśmy też na spółkę trzy fajki. Jeden fajek zostawiliśmy sobie na rano. Żaden z nas nic się nie odzywał. Ja myślałem sobie, i Lejs, jak mogę przypuszczać, też, że może kiedyś będzie lepiej i znajdziemy pracę, w której będą nam płacić. Lejs chciał mnie poczęstować swoimi czipsami, które otworzył sobie na deser, ale nie chciałem mu zjadać. Wiedziałem, jak lubi te czipsy. Jego ksywa wzięła się nie bez powodu (ale na historię ksywki Lejsa przyjdzie jeszcze czas).

– Szebciej, szeb-ciej!

Nagle usłyszeliśmy i aż poderwało nas z ławki.

– Szeb-ciej, szebciej, kurwa!!!

Ale to tylko jakaś baba krzyczała coś grubym głosem do swojego męża, który wyjmował coś z samochodu.

– Nie jestem głodny, zjedz całe – powiedziałem, gdy Lejs ponownie chciał mnie poczęstować czipsami, chociaż naprawdę nieźle burczało mi w brzuchu. Lejs jadł dalej. Spojrzałem na niego, a on, gryząc swoje czipsy, wyglądał, jakby całkowicie zapomniał o wszystkim, co nas tego dnia spotkało. Tak bardzo pochłonięty był łapczywym pałaszowaniem takiej malutkiej paczuszki czipsów, że zjadł ją dosłownie w ciągu jednej chwili, a potem oblizywał dokładnie wszystkie palce.

Uśmiechnąłem się szczerze do niego. Kochałem tego grubasa jak brata.

PS

Widok, jak te majstry od zbrojeń wyjmują skrzynki z narzędziami i torby z wódką i kanapkami do pracy spod maski tego holowanego busa... niezapomniany!

Ach, budowlanka...

Piątek, piątekczek, piątunio...

Po naszej przygodzie w firmie zbrojarskiej zmienialiśmy pracę jeszcze kilka razy. Najdłużej udało się nam popracować w jednej firmie może półtora miesiąca, ale za każdym razem kończyło się tak, że albo ktoś nas wyrzucał z pracy, albo sami się musieliśmy ratować, bo nam jakiś wujek za dużo godzin chciał obciąć przy wypłacie.

Jeśli ktoś chciałby wiedzieć, dlaczego w takim razie dalej szukaliśmy pracy w budowlance, to odpowiedź jest prosta. Płacili tu tygodniowe zaliczki i dzięki temu dość szybko od momentu podjęcia pracy można było zobaczyć jakieś pieniądze. Przynajmniej teoretycznie. W każdym razie, coś tam się na bieżąco wyciągało od tych wujków i jakoś tam się żyło, czekając na lepsze czasy i lepszą firmę. No i chcieliśmy się z Lejsem czegoś nauczyć, żeby móc zarabiać trochę więcej niż trzy złote i pięćdziesiąt groszy za godzinę pracy. Starsze majstry dostawały nawet pięć złotych na godzinę na start, no a jak ktoś był naprawdę fachowcem, to zdarzało się, że dostawał aż siedem złotych za jedną godzinę swojej pracy!

Szukając swojego szczęścia w budowlance, dostaliśmy z Lejsem pracę jako monterzy okien. Zajęcie wydawało się ciekawe, ale ostatecznie naszym zadaniem było jedynie zdejmowanie okien ze stojaków stojących pod budynkiem, a potem roznoszenie tych okien na piętra. Tam dopiero doświadczeni monterzy mieli je wstawiać w otwory okienne. No i jak wstawili okna na jednym piętrze, to brygadzysta czy kierownik tej ekipy powiedział, że tak samo mają dalej robić i że on jedzie na jakiś pomiar, a jak wróci, to jego nic nie obchodzi, ale okna mają być zamontowane. Wydał rozkaz i pojechał.

Majstry co chwilę popijały taką czerwoną i żółtą oranżadę, mrużąc sobie pod nosem, że „piątek, piątekczek, piątunio...”. Dopiero po

jakimś czasie zorientowaliśmy się z Lejsem, że z tą oranżadą jest coś nie tak, bo ani wody nie łoili, ani piwa, a coraz bardziej spruci chodzili.

– Piątek, piąteczek, piątunio! – wzdychały majstry i wznosiły toasty oranżadą.

W sumie ich robota nie wydawała się jakaś trudna, po prostu wkręcali okna na takich wystających blaszkach do otworu okiennego a potem pianowali dookoła pianą montażową. Wszystko byłoby proste, gdyby nie jeden drobny szczegół. Poza zachowaniem jakiegos tam pionu i poziomu, okna trzeba było montować klamką do wewnątrz, tak żeby się też do wewnątrz otwierały.

Niestety, zaczarowana oranżada robiła swoje. Nie wiem, na bazie czego była przygotowana, ale majstry strasznie się pociły od picia tego gówna. W końcu jednak zamontowali te okna, a mi i Lejsowi ręce już zaczęły odpadać od tego noszenia. Zwłaszcza że jak brygadzysta kierownik już odjechał, to tylko my jako młodzi w ekipie roznosiliśmy te okna po całym budynku, bo stare majstry powiedziały, że najpierw trzeba umieć dobrze nosić, żeby potem dobrze montować.

Ostatnią godzinę przesiedzieliśmy z Lejsem w pakamerze, bo wnieśliśmy wszystko, co majstry miały tego dnia zamontować. Musieliśmy odpocząć, bo uchyrgaliśmy się tego dnia wyjątkowo. Słowo „chyrgać” wzięliśmy od jednego majstra. Gdy się go na jednej budowie spytaliśmy, z jakiej jest firmy, bo też chcieliśmy tam pracować, to nam powiedział, że jest z firmy „Yrgo”, a potem dodał: „Yrgo, co po polu chyrgo” Nie wiedzieliśmy do końca, co znaczy to słowo, ale skojarzyło nam się z ciężką pracą na budowie. A my chcieliśmy ciężko pracować, bo wydawało nam się, że jak ktoś to zobaczy, to będzie chciał, żebyśmy pracowali dla niego cały czas i może nie tylko nie utnie nam godzin, ale podniesie nam naszą godzinówkę. Ale wiecie, budowlanka, a zatem takiego chuja...

Chcieliśmy się pochwalić kierowniko-brygadziście, że sami wnieśliśmy wszystkie okna, ale sytuacja wymknęła się trochę spod kontroli. W końcu przyjechał ten brygadzysta kierownik, ale spóźnił się niezłe, więc my z całą brygadą czekaliśmy na niego pod budową. Kierownik brygadzysta zobaczył z zewnątrz, że wszystkie okna, zgodnie z planem, znajdują się w otworach okiennych i kazał zapakować się ekipie do busa. Facet kompletnie ignorował stan upojenia alkoholowego swojej brygady. Chyba przy piątku było to dla niego dość normalne. Popatrzył raz jeszcze na budynek, gdzie zamontowane były okna, i spytał jednego majstra, czy wszystko OK.

– Wszy, wszy, wszyyyyyleeeee!

Majster, zamiast odpowiedzieć, zrzygał się na koło tego busa. Takie miał ciśnienie, że rykoszetem poszło na buty jego kolegów. Zrobiło się małe zamieszanie, bo jeden z majstrów, co mu poszło na buty, a ledwo się trzymał na nogach, też rzygnął i to prosto przed siebie, a na nieszczęście na wprost niego stało dwóch innych majstrów, którym zarzygał całe nogawki od spodni.

Tak się to rzyganie innym udzieliło, że właściwie cała brygada zaczęła rzygać pod siebie i po sobie. Tylko taki jeden stary majster stał oparty o busa i patrzył na kierownika brygadzystę.

– Oj, Władziu, Władziu – wzdychał tylko. – Oj, Władziu, Władziu...

A majstry rzygały pod siebie i nie było wśród nich takiego, który by nie był rzygami kolegów umorusany. Widać też było, który majster popijał zupki chińskie oranżadą czerwoną, a który żółtą.

– Łeee, łeeee, łeeeeee, echu, echu, ech!!! – Słysząc było spawanie bandy okniarzy, a każdy z nich wyglądał, jakby miały mu wyjść nie tylko oczy z orbit, ale też wszystkie wnętrzności z brzucha.

Staliśmy z Lejsem i czekaliśmy, aż to wszystko się skończy. W końcu był piątek i mieliśmy dostać jakąś zaliczkę. Ale kierownik brygadzysta, który też już miał spodnie uwalone po kolana w rzygowinach, wyraźnie się na to wszystko zdenerwował. Gość zaczął posypywać

swoje nogawki ziemią, a potem kazał się pierdolić wszystkim majstrom, wsiadł do samochodu i odjechał, rwąc kapcie starym budowlanym volkswagenem LT.

Majstry trochę ochłonęły, wytarły zarzygane mordy i zaczęły gonić busa. Ale ten odjechał, tworząc za sobą tumany kurzu, w których to zaraz zniknęły pędzące za samochodem oburzone majstry.

Kurz opadał i znów wyłoniły się sylwetki majstrów, tym razem wracających w naszą stronę. Klęli na cały głos na kierownika brygadzystę i co jakiś czas któryś podnosił z ziemi kamień i rzucał w stronę, w którą odjechał samochód. Szli tacy zmęczeni, sfatygowani, pokonani, jakby wracali właśnie z długiej wędrówki, a może nawet z jakiejś wojny.

Majster, który wzdychał wcześniej do kierownika brygadzysty „Włodziu, Włodziu”, znów chyba chciał westchnąć i stanął taki bezradny, patrząc w stronę, gdzie tamten odjechał.

– Wło, Włooo, Włooooooo... – wydobył tylko z siebie i chlusnął prosto na majstrów, którzy byli już przy nas.

Wtedy z przerażającym krzykiem „Zabrali!!!!” obudził się majster, który porzygał się jako pierwszy, po czym usiadł na krawężniku i zasnął z głową schowaną między kolanami. Teraz wstał taki zdezorientowany i przestraszony, jakby przyśnił mu się najgorszy koszmar. Zerwał się jak oparzony i zaczął grzebać w swojej torbie z roboczymi ciuchami. Nagle na jego zmęczonej, umordowanej i wystraszonej, czerwonej, spuchniętej gębie pojawił się taki promienny uśmiech, odkrywający wszystkie braki w jego uzębieniu.

– Są! – wykrzyknął taki szczęśliwy, a kiedy reszta majstrów zobaczyła, że wyciągnął dwie oranżady, jedną czerwoną i jedną żółtą, też się uśmiechnęli, również pokazując przy tym swoje braki w uzębieniu. Trudno było oszacować, czy z tej całej brygady chociaż jedną pełną szczękę można by skompletować. Zupełnie nie przejmowali się już tym, że cali są porzygani i że odjechał im kierowca, i że będą mieli problem, żeby wrócić tego dnia do domu.

Na widok dwóch „zaczarowanych” oranżad do brygady monterów znów zawitała radość.

Piątek, piątek, piątunio...

A my z Lejsem staliśmy smutni, bo przez jebane pijaństwo majstrów nie dostaliśmy żadnej zaliczki na piątek i pierwszy od wielu miesięcy cały wolny weekend musieliśmy przeżyć za jakieś grosze, które nam jeszcze zostały. A tak bardzo chcieliśmy iść nad morze, posiedzieć na piasku i posłuchać szumu fal. Chcieliśmy napić się zimnego piwka, popatrzeć na dziewczyny i może nawet sobie pomarzyć.

Ale cóż, budowlanka...

Praca monteruf

Piątkowa akcja z zaczarowaną oranżadą miała swój ciąg dalszy w poniedziałek. Właśnie wtedy inspektor nadzoru miał odebrać te okna, co je montowaliśmy w piątek. No i wtedy wyszło, że okna, które były wstawiane na samym końcu, pod wpływem „czarów” z oranżady, zamontowane były w całości i to w jakiś dziwny sposób, bez przykręcania i tylko na samą pianę. Do tego, co najgorsze, klamki były na zewnątrz i nawet nie można ich było od środka otworzyć.

Na odbiór montażu okien przyjechał też nasz ówczesny wujek. Stali razem z inspektorem i kierownikiem brygadzystą monterów nad czwartym czy piątym zamontowanym w ten sposób oknem i dumali, jak mogło do tego wszystkiego dojść. Kierownik brygadzysta aż oparł się o ścianę i złapał się za serce, dysząc głośno. Chyba chciał wzbudzić litość, że właśnie dostaje zawału, żeby wujek za bardzo nie zaczął go opierdalać. Wujek stał czerwony i wyglądał, jakby miał zaraz wybuchnąć. Majstry stały, jakby zupełnie nie kapowały, o co chodzi i tylko ze zdziwieniem przetykali głośno ślinę, patrząc to na wujka, to na inspektora. Inspektor złapał się za głowę, a potem wybuchł takim szyderczym, głośnym śmiechem. Gościu dosłownie kisał ze śmiechu i aż się zaczął skręcać.

Jeden z majstrów też się wtedy uśmiechnął i wyszeptał do jeszcze mocniej dyszącego pod ścianą kierownika brygadzysty:

– Inspektor ma dobry humor, odbiór na pewno będzie.

Ale odbioru nie było. Wujek w końcu nie wytrzymał i zapytał inspektora, z czego rzy, a inspektor pokisnął jeszcze trochę, a potem ze łzami w oczach odpowiedział wujkowi:

– Bo ze smutnej dupy wesołego bąka nie będzie!

I wyszedł, poklepując wcześniej wujka po ramieniu, mówiąc mu na do widzenia, że nawet notatki z odbioru nie zrobi, bo i tak mu nikt nie uwierzy, a na odbiór przyjdzie za tydzień, jak będzie odbierał kolejne piętra.

– Ze smutnej dupy wesołego bąka nie będzie ani z pizdy fachowca
– powiedział jeszcze pod nosem inspektor, kiedy wychodził z odbioru prac wykonanych przez „monteruf” okien.

I co wy na to, moi drodzy?

Spis treści

Przedmowa	7
30 dzień na budowie	8
Piątek, piąteczek, piątunio... ..	18
Praca monteruf	23

Projekt okładki:
Joanna Lezarowicz
Iwona Markun

Wsparcie techniczne:
Patrycja Słaby

Redakcja:
Monika Turała

Copyright © by wydawnictwo Ugly True Media, 2021

Wydanie 1, Gdańsk
Druk: 999 szt egzemplarzy

ISBN: 978-83-962419-1-7